



Leni w Szybie Wilson

Premiera przygotowanego przez Teatr Śląski spektaklu „Leni Riefenstahl. Epizody niepamięci” odbyła się w Szybie Wilson w Katowicach-Nikiszowcu. Reżyserka Ewelina Marciniak upodobała sobie to miejsce, bo jej spektakle to rozpasane wizualnie kadry, ruchome obrazy pełne przepychu i genialnie użytego światła. Jednak w porównaniu ze zmysłową „Morfiną”, którą Ewelina Marciniak pokazała nam dwa lata temu, piątkowa premiera lekko rozczarowuje. Z pewnością to jednak przedsięwzięcie, o którym będą pisały nie tylko lokalne media.

Recenzja spektaklu – **s. 4**

DAVID CHALIMONIK / AGENCJA GAZETA





**MARTA
ODZIOMEK**

GAZETA WYBORCZA

W porównaniu ze zmysłową „Morfiną”, którą Ewelina Marciniak pokazała nam dwa lata temu, piątkowa premiera „Leni Riefenstahl. Epizody niepamięci” lekko rozczarowuje.

Premiera przygotowanego przez Teatr Śląski spektaklu odbyła się w Szybie Wilson w Katowicach-Nikiszowcu. Reżyserka Ewelina Marciniak upodobała sobie to miejsce, bo jej spektakle to rozpasane wizualnie kadry, ruchome obrazy pełne przepychu i genialnie użytego światła.

W piątek twarze większości aktorów zasłaniały maski. Zabieg uzasadniony, bo sprawia, że patrzymy na bohaterów jak na zniewolone marionetki lub wynaturzone typy. Tyle że po kwadransie patrzenie robi się nużące. Aktorzy bez twarzy, grający jedynie ciałem, nie mogą nawiązać ze sobą relacji, nie okazują emocji, brzmią i zachowują się sztucznie.

Maski noszą Hitler (nie wiadomo czemu tak cudacznie nadekspresyjny), jego świta, do której należą: Ewa Braun, małżeństwo Goebbelsów, fotograf Hoffmann oraz Leni Riefenstahl, główna po-

stać dramatu nawiedzona przez duchy z przeszłości.

Przychodzą one do stuletniej Leni, przygotowującej się wraz z dużo młodszym partnerem do nurkowania. Chcą namówić reżyserkę do nakręcenia kolejnego filmu. Wizyta potwierdza, że reżyserka faktycznie współpracowała z faszystami. Że nie tylko chciała „robić filmy”, jak tłumaczy się sama przed sobą i publicznością. Haki zbierają na nią Hans i Sophie Sholl, rodzeństwo, działacze antynazistowskiego ruchu oporu.

Narratorką spinającą trzy płaszczyzny narracji jest pisarka Elfriede Jelinek, zafascynowana Leni. W kilku scenach pojawia się również Marlena Dietrich, która toczy z młodą Leni słowną potyczkę o to, która z nich była większą i lepszą artystką.

Aktorsko spektakl jest bez zarzutu. Wspomniana Dietrich w wykonaniu Anny Kadulskiej, odziana w piękną, mieniącą się suknię, czaruje wdziękami. Uwagę przyciąga również rozedrgana Violetta Smolińska jako Magda Goebbels.

Szkoda, że nie było mi dane poznać talentu aktorskiego chwalonej wszem i wobec Małgorzaty Górol, ponieważ jej twarz cały czas zasłaniały peruka i wspomniana maska.

Pole gry aktorów to wielofunkcyjna modułowa powierzchnia, zdolna „udawać” wiele lokalizacji naraz. Odwiedzamy więc zarów-

no dom głównej bohaterki, jak i afrykańską wioskę, w której bywała, zachwycając się jej mieszkańcami, stajemy się również świadkiem tego, jak Hitler ze swoją świtą bawi się na ośnieżonym stoku.

Scena przypomina rupieciarnię, choć zagracona jest z pomysłem. Po lewej panoszy się fragment domku Leni, po prawej górski stok. W centrum drewniany stół z krzesłami, a pod przeciwległą ścianą rząd krzeseł. Na podłodze leżą stosy taśmy filmowej oraz elementy afrykańskiej flory.

Do historii przejdą z pewnością fragmenty z udziałem nagich, wysmarowanych złotą mazią Afrykańczyków wyginających tyłki w stronę widowni. I ponętny kochanek Leni ze sztucznym penisem i prawdziwymi piersiami (bo w tę rolę wcielała się aktorka).

Wszystko jest jednak zbyt chaotyczne, niekoniecznie zrozumiałe i, niestety, pozbawione pewnej energii. Między aktorami, którzy przecież dają z siebie wszystko, nie ma żadnej chemii.

Tekst napisany przez Igę Gańczarczyk i Łukasza Wojtyskę nie pomaga aktorom. Powstał na podstawie pamiętników bohaterki i książki na jej temat, i pozbawiony jest polotu. Dowiadujemy się, że życie Leni było długie, interesujące, ale i stresujące. Żyła ponad sto lat, miała mnóstwo kochanków, dbała o zdrowie i ciało. Spełniała się jako reżyserka, bo wiedziała, że wielką aktorką nigdy nie zosta-

nie. Interesowały ją dyscypliny sportowe oraz Afryka. W miarę spełnione życie przyćmiewał jednak fakt, że w latach II wojny światowej była blisko Hitlera, kręcąc dla niego filmy. Sama tłumaczyła się z tego „epizodu”, pisząc kilka różnych autobiografii. I zasłaniając się pragnieniem kręcenia filmów. Czy cel uświęcał środki? Czy można było przymknąć oko na tę kolaborację? W sumie tak się stało, Leni nie została ukarana. Ale przeszła do historii jako „reżyserka od Hitlera”.

Spektakl Eweliny Marciniak stanowi próbę odpowiedzi na te pytania, uruchamiając monumentalną maszynę pamięci. Dobrze się ją ogląda, jest widowiskowa, ale - niestety - scenariusz nie powala. A ja chciałabym teatru doświadczać nie tylko wzrokiem, lecz także słuchem.

Nie sądzę więc, by „Leni Riefenstahl. Epizody niepamięci” powtórzyła sukces „Morfiny”. Niezależnie od tego twórcom, pomysłodawcom i gospodarzom należą się gratulacje. Za ponowne odkrycie i świetne wykorzystanie przestrzeni Szybu Wilson. Za wysiłek związany ze zrealizowaniem tak kosztownej, pracochłonnej i wymagającej premiery. Za próbę zrealizowania w Katowicach głośnego przedsięwzięcia teatralnego, o którym z pewnością będą pisały nie tylko lokalne media.

Zdjęcia na
katowice.wyborcza.pl